

EWA DAWCZAK-SCHAEFER

Ewa ma wielką moc.

**Jej mocą jest wiara. Wierzy w prawdę,
sprawiedliwość i wolność.**



Na wiszącym nad łóżkiem, wąziutkim parapecie siedzi młoda dziewczyna. To Ewa. Ponieważ jest bardzo drobna, bez problemu mieści się na tym wąskim kawałku drewna. Ma podkurczone nogi. Brodę opiera na kolanach. Wygląda przez okno. Na co patrzy? Co widzi tam, po drugiej stronie? Ciszę przerywają kobiece głosy. Ktoś rozmawia obok niej, ale wszystko dzieje się jakby setki kilometrów dalej. Czyje to głosy? O czym rozmawiają? Ewa nie ma do tego głowy. Jeszcze nie chce wiedzieć. Zapada ciemność i obrazy wokół zmieniają się.

Teraz Ewa ma jasne, proste włosy do ramion, w uszach kolczyki – niebieskie misie Haribo. Ubrana jest w cienki wełniany sweterek i granatowe džinsy. Ozdobą są zielona apaszka na szyi i szklana brosza w kształcie drzewa przypięta do swetra. Na nosie spoczywają okulary w grubych fioletowych oprawkach, lekko kanciaste. Od razu widać, że Ewa ma barwną i wrażliwą duszę. Siedzi w bardzo starym, ale wygodnym fotelu. Choć minęło ponad czterdzieści lat... nadal niechętnie przypomina sobie te dni, gdy przesiadywała na wąskim parapecie. Wtedy nosiła ciemne długie warkocze, sięgające do ramion albo wysoko upięty kok. Była bardzo szczupła. Najchętniej chodziła w szerokim, granatowym swetrze od taty i w spodniach, które przerobiła z džinsów swojego męża. Czasem zakładała spódnicę z dwiema bardzo głębokimi kieszeniami, do których wkładała różne papiery, drobiazgi. To były wyjątkowe kieszenie. Mogła schować w nich cały świat. Wiosną 1982 roku najchętniej sama wskoczyłaby do jednej z nich...

Ewa urodziła się 14 października 1957 roku w Katowicach, w mieście które od paru miesięcy – na szczęście – nie nazywało się już Stalinogrodem. Trudno sobie to wyobrazić, ale przez cztery lata Katowic nie było na mapie Polski, był za to Stalinogród – ku pamięci Józefa Stalina, wielkiego dyktatora i... zbrodniarza. Dzisiaj Ewa mieszka w pięknej, starej willi na bytomskim Kleinfeldzie czyli Małym Polu. To jedno ze starszych, bardzo wytwornych osiedli w centrum Bytomia. Dawniej, przed wojną, w tych domach zamieszkiwali ważni i zasłużeni dla miasta ludzie. I chyba to się nie zmieniło, bo musisz wiedzieć, że Ewa też jest ważną i zasłużoną dla nas kobietą.

Dziś jest na emeryturze. Nie musi już codziennie pracować. Każdego dnia odpoczywając na sofie w salonie, może przez duże narożne okno podziwiać królową Bytomia – wielką Elektrociepłownię Szombierki, przypominającą z tej perspektywy egipskiego sfinksa. Czy myśli wtedy o kobietach, które przychodziły na wielki plac budowy i w trudnych warunkach pracowały przy wznoszeniu tej majestatycznej budowli? Skończyła się Wielka Wojna, wielu mężczyzn nie wróciło do domów. Ich miejsce musiały zająć kobiety. To były prawdziwe bojowniczkki. Tak, jak ona. Gdy Ewa zdała maturę, rozpoczęła studia na Uniwersytecie Śląskim. Wybrała prawo. Chciała pomagać ludziom, walczyć o słabszych i pokrzywdzonych. Po pierwszym roku studiów wyszła za mąż. Rok później w całym kraju na różnych uczelniach rozpoczęły się strajki studenckie. Strajkowali także studenci prawa w Katowicach, a wśród nich strajkowała Ewa. Wszyscy strajkujący pragnęli wolności. To były dziwne czasy. Władza kontrolowała wszystko i wszystkich. Wiele działań było zakazanych. Studenci chcieli móc wyjeżdżać za granicę, chcieli mieć prawo decydować, dłużej się uczyć i krócej służyć w wojsku. Walczyli o uwolnienie więźniów politycznych i o to, by prawda mogła być zawsze na wierzchu. Ewa wierzyła w tę prawdę, wierzyła w wolność. Nie mogła więc nie stanąć na barykadach. Musiała walczyć.

Dla siebie, dla swoich kolegów, koleżanek i dla nas. Dla nas wszystkich, którzy urodziliśmy się dużo później.

Kiedy Ewa była studentką, wydział prawa w Katowicach mieścił się przy ul. Bankowej 8, w potężnym, modernistycznym gmachu, do którego prowadziły wysokie schody, zwieńczone dwoma ozdobnymi filarami. Po rozpoczęciu strajków studenci przejęli cały budynek. Utworzyli specjalne przepustki i nie wpuszczali nikogo, kto nie był studentem. Na pierwszym piętrze zorganizowali wielką sypialnię. Rozłożyli tam mnóstwo dmuchanych materaców i ciężkich śpiworów. Ewa pamięta, że sporo młodych dziewcząt przynosiło swoim mężom jedzenie. Nocą grywali w chińczyka, dużo rozmawiali. Wiedziała i czuła, że to, co robią, jest słuszne.

16 lutego 1981 roku razem z mężem obchodziła pierwszą rocznicę ślubu, dlatego dostała przepustkę, żeby swobodnie wyjść z uczelni. Mąż zaprosił Ewę na kolację do restauracji w hotelu Polonia, nieopodal kina Rialto, która słynęła wtedy z bardzo dobrej kuchni. Gośćmi Polonii bywali znani politycy, aktorzy, muzycy. Polonia była legendarnym miejscem. Tyle się wtedy działo, że dziś Ewa zupełnie nie pamięta, co jedli z mężem na kolację i o czym rozmawiali.

Gdy zniechęceni koledzy zaczęli rezygnować ze strajkowania, Ewa wzięła na siebie obowiązek przewodnictwa w protestach. Sprawy trzeba było doprowadzić do końca. Porządek musi być zachowany. Udało się. Ale wszystko to zostało zapisane i jest przechowywane w grubych teczkach. Można byłoby metaforycznie powiedzieć: *zapisano je bardzo złym i brzydkim pismem*. Wyobraź sobie, ta drobna dziewczyna z włosami upiętymi w kok, w spódnicy z wielkimi kieszeniami... jej działania uznano za groźne dla bezpieczeństwa państwa. Czy Ewa była niebezpieczna?

Minęły wakacje i w końcu nadeszła zima. W drugi weekend grudnia Ewa i jej mąż pojechali do znajomych. Zaplanowali, że przez cały weekend będą grać w karty. Semestr chylił się ku końcowi, chcieli więc odpocząć przed egzaminami.

W sobotę wieczorem przestała działać telewizja. W niedzielę nadal nie udało się włączyć żadnego programu. Okazało się, że tej nocy wprowadzono stan wojenny. Stan wojenny to był taki wyjątkowy czas, kiedy wojsko pilnowało wszystkiego wokół. Na chodnikach ciągle spacerowali uzbrojeni żołnierze, ulicami często przejeżdżały czołgi. Wszyscy obywatele – bez względu na wiek – musieli wieczorami zostawać w domu, nie wolno było przemieszczać się, zamknięto granice, sprawdzano listy, podsłuchiowano rozmowy telefoniczne... Za nawet najdrobniejsze przewinienie można było trafić do więzienia. W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku, kiedy ogłoszono w Polsce stan wojenny, wielu z tych, którzy strajkowali kilka miesięcy wcześniej i walczyli o wolność – jak Ewa, złapano i wtrącono do aresztów. Uważano, że wszyscy – na równi z Ewą – zagrażają bezpieczeństwu państwa. Zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Ewa zastanawiała się, co dzieje się na uczelni. Chciała jak najszybciej tam się znaleźć. Nie pamięta jednak jak wróciła od znajomych i dotarła do Katowic na ul. Bankową. Nie pamięta, kiedy to było dokładnie, ani która była godzina. Na pewno było ciemno. Może była już noc? Do Ewy przyszła Basia, koleżanka. Basia miała złą wiadomość. Powiedziała, że Ewa zostanie internowana czyli przymusowo umieszczona w specjalnym ośrodku, z którego nie będzie mogła wyjść. Brzmi jak więzienie. I w zasadzie internowanie nie różniło się zbyt wiele od uwięzienia. Basia poradziła też Ewie, żeby nie mieszkała teraz w domu. Zaczęło robić się jeszcze bardziej niebezpiecznie...

Dach nad głową znalazła dwie ulice dalej, u innej koleżanki. To była prawdziwa śląska rodzina. Wszyscy godali po śląsku. Nie pamięta ile czasu tam spędziła. Tak dużo się działo... Któregoś dnia zauważyła, że wejścia do domu, w którym mieszka jej mama pilnują *panowie o smutnych twarzach*. Udało jej się wtedy przedostać do mamy, wykorzystując tylne wejście budynku, o którym panowie nie wiedzieli. Na ukrywaniu się w ten sposób minęła jej cała zima.

Wiosną 1982 roku dostała wezwanie na milicję, ale nie pojawiła się na komendzie. Widziała jak w tym czasie wyprowadzono w kajdankach z uczelni jej kolegę. Po kilku dniach przyszło drugie wezwanie. Mimo to Ewa pojechała z mężem w góry. W drodze powrotnej, gdy siedzieli w pociągu między wagonami, zdecydowała się powiedzieć mu o wezwaniach. Ewa nie zrobiła nic złego. Walczyła przecież w słusznej sprawie. Dla siebie i dla innych. Nie miała się więc czego bać, a mimo to czuła lęk. Wciąż w głowie słyszała słowa Basi, gdy ta mówiła o internowaniu. Razem z mężem zdecydowali, że następnego dnia Ewa zgłosi się na komendę.

Zaraz z rana udała się do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, która mieściła się przy ul. Lompy. Potężny, surowy budynek wzbudzał strach. Na wejściu pokazała funkcjonariuszowi wezwanie. Odczekała dłuższą chwilę, aż poproszono ją do środka. Funkcjonariusze zadawali mnóstwo pytań. Większość była zupełnie bez znaczenia. Wypytywali o znajomych z uczelni, obrażali jej kolegów. Na koniec panowie wręczyli jej decyzję o internowaniu. Stało się. Działo się to w poniedziałek, 24 maja 1982 roku. Ewa trafiła do celi. Zamknięto ją z dwiema kryminalistkami i jedną internowaną koleżanką. Pamięta, że miała na sobie czerwone dżinsowe spodnie i że było bardzo ciepło, a koleżanka pomimo to, ubrana była w kożuszek. Skądinąd bardzo ładny. Założyła go, bo bała się, że zmarznie. Po dwóch lub trzech dniach obie dziewczyny wsadzono do policyjnego transportu. Wóz krążył przez jakiś czas, trudno było wyczuć, w którym kierunku jadą, co mijają po drodze. Nie miały pojęcia co je czeka. W pojeździe nie było okien, w środku było ciemno, dlatego nie mogły nic zobaczyć. Zdawało im się, że podróż trwała całą wieczność. Były przerażone.

Mąż Ewy nie potrafił zdobyć informacji, gdzie została wywieziona.

Ostatecznie Ewa trafiła do Bytomia, do obozu dla internowanych kobiet, który powołano miesiąc wcześniej w ośrodku szkoleniowym jednego z katowickich

urzędów. Był to niski, biały budynek ukryty w miechowskim lesie na krańcu miasta. Wokół rozciągał się wysoki płot, pod którym w równych odległościach stali młodzi chłopcy, rówieśnicy Ewy. Chłopcy celowali z broni do osadzonych. „Zatem jednak jest tu jak w więzieniu” – przemknęło Ewie przez myśl. Między budynkiem a płotem był niewielki spacerniak – teren, na który można było wyjść rozprostować kości. Jedynie na kilkanaście minut dziennie. W obozie panowały trudne warunki.

Z Ewą do Miechowic trafiły jeszcze dwie dziewczyny z jej wydziału z uczelni. To że były tam razem, dodawało im otuchy. Bardzo się wspierały. Dziewczęta opowiadały sobie różne życiowe historie. Razem z pozostałymi kobietami starały się podtrzymać w ośrodku domową atmosferę. Dłużący się czas wypełniały sobie różnymi zadaniami. Robiły na drutach, plotły z chleba różańce, próbowały czytać książki, z gumolitu wyrabiały obozowe pieczątki, które symbolizowały ich opór przeciwko tej sytuacji i działaniom władzy. Dużo rozmawiały. O wszystkim, tylko nie o polityce, żeby odwrócić uwagę. Żartowały, śmiały się, śpiewały. Robiły wszystko, żeby nie myśleć, żeby głowę zająć czymś innym. Bardzo tęskniły za rodzinami, za przyjaciółmi. Dość często do pokojów wpadała funkcjonariuszka Brygida, żeby przeszukać ich rzeczy. Osadzone bawiły się więc z nią w chowanego. Chowały zrobione pieczątki. Niestety, gdy któraś została namierzona przez funkcjonariuszkę, nie było już tak wesoło... Ewie trudno jest wracać pamięcią do tych chwil.

Mąż odwiedził Ewę tylko trzy razy, ojciec raz – nie dostali więcej zgód na widzenie. Wszystkie spotkania były krótkie i zawsze w obecności funkcjonariuszy. Najczęściej do osadzonych przychodził ksiądz Hubert Kowol, proboszcz parafii św. Barbary z Bytomia. Był dla nich dużym oparciem. To dzięki niemu udało się czasem przekazać bliskim jakieś wiadomości.

Któregoś dnia przyszedł do Ewy rzecznik z uczelni. Przyniósł wiadomość o toczącym się postępowaniu dyscyplinarnym i zawieszeniu jej w prawach

studenta. Dowiedziała się też, że za swoją działalność może zostać usunięta z uniwersytetu. Marzenia o skończeniu ukochanego kierunku wisiały więc na włosku. Miała być ukarana za to, że walczyła o prawo do wolności – ona, studentka prawa, a wraz z nią kilku innych studentów i studentek. Na szczęście na uczelni pracowały osoby, które wspierały działania Ewy i jej kolegów. Ostatecznie otrzymała tylko naganę.

Do domu została zwolniona, wraz z pozostałymi kobietami przebywającymi w Miechowicach, trzy miesiące później, 23 lipca 1982 roku. Decyzja o zakończeniu internowania została wydana po interwencji Zarządu Ligii Kobiet – organizacji walczącej o prawa pań.

Po wszystkim chciała zostać sędzią. Odmówiono jej. Musiała ciężko pracować, żeby spełnić swoje marzenie. Wreszcie ukończyła aplikację sędziowską, ale zaocznie. Marzyła o prawie karnym. Znow jej odmówiono. Nie poddała się. Została sędzią wydziału rodzinnego. Była kontrolowana i prześladowana. Nie dała się złamać. Wierzyła w sprawiedliwość. Była silna, więc przetrwała.

W miechowskiej celi lubiła siadać na parapecie okiennym tuż nad swoim łóżkiem. Mieściła się tam, bo była drobna. Robiła wtedy na drutach albo po prostu wyglądała przez okno. Pamięta dźwięki dochodzące z oddali, trąbiące klaksony autobusów i taksówek. Pamięta nieprzyjemny zapach z kuchni i spleśniały chleb. Pamięta, że każdego 13 dnia miesiąca paliły świece i śpiewały piosenki, których teksty zapisywała drobnym pismem na serwetkach. „A mury runą, runą, runą i pogrzebią stary świat!” - dało się słyszeć najgłośniejsze.

Wszystkie pamiętki z tego okresu przechowuje głęboko schowane, jak swoje wspomnienia. Wyjęła je teraz pierwszy raz, żeby opowiedzieć ci tę historię.

Anna Seemann-Majorek